

## **Marek A. Cichocki: Prawdę o sobie musimy znaleźć sami**

Musimy się zwrócić do siebie nie po to, by oglądać piękne widoki, nie żeby się wzruszać, ale by odpowiadać na zasadnicze pytania o własną tożsamość — mówi Marek A. Cichocki w rozmowie z Piotrem Legutką dla „Rzeczy Wspólnych”.

**Piotr Legutko (Rzeczy Wspólne): Dlaczego chce pan nas oderwać od Zachodu? Tyle lat czekaliśmy, by się z nim móc identyfikować...**

**Marek A. Cichocki:** Najpierw trzeba się zastanowić, czym w europejskiej kulturze jest Zachód jako punkt odniesienia, bo wydaje mi się, że to wcale nie jest takie jednoznaczne ani oczywiste. Centrum naszej cywilizacji - bo o tym mówimy - nie zawsze przecież znajdowało się w Berlinie, Paryżu czy nawet w Londynie. Bardzo długo źródłem europejskich wartości był Rzym czy szerzej rzecz ujmując - świat śródziemnomorski.

Pamiętam tekst napisany na początku lat 90. przez socjologa, prof. Pawła Sztompkego, który zwracał uwagę na idealistyczne czy nierealistyczne postrzeganie Zachodu w Polsce. Jego zdaniem wzięło się ono właśnie z wtłoczenia nas w ten zimnowojenny podział w czasach, gdy ów Zachód oglądaliśmy zza żelaznej kurtyny, trochę jak

luksusową wystawę sklepową. Wtedy nie było zbyt wiele przestrzeni, by się nad naturą tego Zachodu zastanowić, zrozumieć, co jeszcze jest poza ową wystawą gdzieś w Berlinie Zachodnim. Reasumując: nie chodzi mi o to, żeby nas odrywać od Zachodu, a tym bardziej wpychać w objęcia Wschodu, ale byśmy sami sobie zdefiniowali, o czym myślimy, mówiąc „Zachód”.

**Skojarzenia są raczej proste: demokracja liberalna i cywilizacja postrzegana utylitarnie jako pewien poziom komfortu życia, do którego osiągnięcia dążymy. Pan, jak rozumiem, nie ma na myśli takiej definicji Zachodu.**

Mój punkt wyjścia jest trochę inny. Namawiam, by spojrzeć na europejską cywilizację przez pryzmat nas samych. Mamy taką skłonność, by definiować siebie, patrząc na innych. Jest w nas bardzo rozwinięta specyficzna wrażliwość, a nawet przeczuwanie, wciąż się zastanawiamy, co inni o nas mówią, jak nas postrzegają. Bardzo się tym przejmujemy i zbyt często się z tego powodu wstydzimy albo złościmy. A ja uważam, że trzeba zacząć od pytania: „Kim my jesteśmy?”.

**Kim więc jesteśmy?**

Jesteśmy zromanizowanymi, zlatynizowanymi Słowianami. Taka jest polska kultura, taka była od początku, taka będzie do końca. Innej nie będzie. I to wiąże się z wieloma implikacjami. Pokazuje, że westernizacja rozumiana w trybie modernizacji, tak jak to było mniej więcej od oświecenia, jest bardzo ważnym problemem społecznym i politycznym, ale niewiele wnosi do zrozumienia, na czym tak naprawdę

polega polskość. Dla zromanizowanych, zlatynizowanych Słowian punktem odniesienia jest bowiem cywilizacja śródziemnomorska. Tam narodziła się polska kultura, która trwa do dziś. To oczywiście komplikuje nasz stosunek do oświeceniowego Zachodu. Mówiąc bardzo umownie, jesteśmy rozpięci między Rzymem a Paryżem. Drugi problem to nasz stosunek do Wschodu. Jako zlatynizowani Słowianie zawsze pozostaniemy dla Wschodu dziwolągiem, żeby nie powiedzieć - łańskim zdrajcą w świecie Słowian. Tak nas do dziś postrzega wielu Rosjan.

W każdym razie to zasadnicze pytanie: „Kim jesteśmy?” i udzielona na nie odpowiedź od razu sytuują nas na mapie europejskiej kultury w bardzo określonym miejscu.

**Przecież tę łańską formę, o której pan wspomina, straciliśmy 300 lat temu...**

Wtedy straciliśmy nie formę, ale państwowość i polityczną suwerenność, co oczywiście było wielką tragedią i wycisnęło piętno na naszej kulturze politycznej oraz świadomości historycznej. Czy takie właśnie zdefiniowanie rodowodu Polaków ma jednak tylko charakter historyczny, czy wciąż wydaje owoce? Czy nasza ciągłość kulturowa nie została przerwana przez dwa totalitaryzmy?

Jestem zdecydowanym zwolennikiem tezy o ciągłości kultury. Uważam, że to jest w nas, żyje i w dalszym ciągu owocuje. Nawet uwzględniając wszystkie zmiany, które zachodzą wokół nas i u nas, nadal nie uważam, by ciągłość kulturowa została u Polaków zerwana. Właśnie dlatego, że

*Bardzo długo źródłem  
europejskich wartości był  
Rzym*

jesteśmy  
zlatynizowanymi,  
zromanizowanymi  
Słowianami, byliśmy  
zdolni - mimo dwóch  
totalitaryzmów - do  
wyrażania w sobie

dwóch zasadniczych idei, o których piszemy w ostatnim numerze „Teologii Politycznej”: miłosierdzia i solidarności. Obie te idee są moim zdaniem całkowicie niezrozumiałe i niemożliwe bez odniesienia do całej tradycji, kultury i cywilizacji śródziemnomorskiej, do schryścianizowanego romanitas.

### **Mamy to w genach?**

To jest nasze kulturowe DNA, ono będzie w nas tak długo, jak długo będziemy istnieć jako zjawisko duchowe i kulturowe zwane polskością. Miłosierdzie i solidarność były wielkimi odpowiedziami na straszliwe doświadczenia, przez jakie przeszła Europa, a zwłaszcza my w XX w. Możemy jednak spojrzeć na tę ciągłość polskiego DNA także w wymiarze bardziej praktycznym, wręcz prozaicznym. Na przykład w Polsce, mimo coraz bardziej eskalacyjnego wewnętrznego konfliktu politycznego, obie jego strony tak naprawdę uważają, że mówią w imieniu dobra wspólnego. To pokazuje trwanie republikańskiej formuły kultury politycznej, w której jesteśmy zamknięci i z której nie wychodzimy.

**Wpisanie obu stron polskiego konfliktu w jedną republikańską tradycję to dość odważna teza.**

Każda z tych stron porusza się w obrębie tego samego republikańskiego paradygmatu i używa, funkcjonując w polityce, jego języka, ponieważ innego na dobrą sprawę nie znamy. Podobna sytuacja jest z inteligentkim etosem, który moim zdaniem ciągle trwa. Oczywiście się zmienił, nie jest już taki jak w XIX w., nie jest też taki, jaki był w PRL, ale pozostało niezmiennie przekonanie, że mamy pewne obowiązki, które nie ograniczają się jedynie do naszego indywidualnego życia. W ogóle w Polsce indywidualizm nie przechodzi tak łatwo na pozycje całkowitego egoizmu, lecz realizuje się przez pryzmat społecznych i politycznych obowiązków. A zatem coś, co stanowiło istotę polskiej inteligencji, w dalszym ciągu trwa.

### **Co to jednak za inteligencja, chciałoby się dopowiedzieć...**

Nie podzielam takich katastroficznych ocen, że coś ostatecznie w polskiej duszy się zerwało i nie połączy z powrotem. Nawet jeśli mamy do czynienia z ogromnymi zmianami społecznymi, to ja patrzę na polską kulturę tak, jak proponował T.S. Eliot. Postrzegam ją jako pewną całość. To nie są tylko elity, lecz cała wspólnota, niezależnie od dzielących ją społecznych różnic.

**Kiedy Sławomir Mrożek popadł w afazję, zaczął pisać wspomnienia. „Baltazar” to była forma terapii, która miała mu pomóc w odzyskaniu pamięci czy szerzej - tożsamości. Mam wrażenie, że pana książka „Północ i Południe” powstała w podobnym celu, tyle że nie chodziło o autora, lecz naszą wspólnotę, która też zdradza podobne objawy. W tej podróży do źródeł sięga pan daleko, bo aż do Kadłubka.**

Dzieło Kadłubka to pierwszy tekst napisany przez rodzimego autora i od razu podejmujący temat naszej tożsamości. To jest oczywiście kronika, która rządzi się swoimi regułami, choć dosyć swobodnie, co zresztą stało się przyczyną krytyki np. ze strony Pawła Jasienicy, który piętnował brak profesjonalizmu i niedbałość autora. Rzeczywiście, wiele wskazuje na to, że Kadłubek kronikarzem był z przymusu, a tak naprawdę chciał być kimś więcej. Dzięki temu otrzymaliśmy bardzo ciekawy tekst podejmujący zasadniczą kwestię, jak należy rozumieć polityczną wspólnotę Polaków. Jak ona powstawała, jakie wydarzenia ją ukształtowały. Dla mnie to jest fascynujące źródło wiedzy o nas samych. Co bardzo istotne z punktu widzenia mojej książki, Kadłubek wpisał polską tożsamość w całą starożytną strukturę mitów i wydarzeń.

Nie wiemy tak naprawdę, skąd się wzięli Polacy - tak zaczyna się jego kronika - nie wiemy, jakie były nasze początki z punktu widzenia czysto historycznego, pozytywistycznego. Patrząc jednak na tożsamość polityczną Polaków, na ich kulturę polityczną, widać, że jest ona wzięta ze źródła śródziemnomorskiego. W związku z tym śmiało można przejść do porządku dziennego nad pytaniem: „Jakie były pierwsze fakty świadczące o tym, że Polacy stali się Polakami?”, bo fakty te nie są aż tak istotne. Kadłubek stworzył elementarz polskiego języka politycznego, dał mu zestaw podstawowych pojęć, takich jak obywatelskość czy res publica. Wtedy ten język ostatecznie się ukonstytuował. Z kolei wiek XVI, złoty wiek, I Rzeczpospolita to jest moment, w którym ostatecznie ukonstytuowała się polska kultura polityczna, taka, która trwa do dziś.

**Szkoda, że gołym okiem tego nie widać, a w dodatku wciąż mówimy o kulturze, a nie o dających mocne oparcie strukturach...**

Mam rzeczywiście głębokie przekonanie o istnieniu ciągłości w sferze zarówno języka, jak i republikańskiej kultury politycznej Polaków. Natomiast wciąż powraca do nas problem instytucjonalnej formy politycznej i wyraża się on jako tęsknota za silnym, sprawnym państwem, którego nie potrafiliśmy nigdy zbudować. Nawet wtedy, gdy uzyskaliśmy daleko idący wpływ polityczny w Europie, nie byliśmy silnym ani sprawnym państwem. Owa potęga wciąż potykała się o własne nogi. Weźmy choćby kwestię nieistniejącej nigdy państwowej infrastruktury I Rzeczypospolitej. Jedyne most na Wiśle w Warszawie musiał wybudować król z własnych pieniędzy. W ogóle nie mieściło się w głowie obywatelom Rzeczypospolitej, by to oni mieli odpowiadać za infrastrukturę swojego własnego państwa. Kraków nigdy nie dorobił się porządnym fortyfikacji.

**Zbudowali je dopiero Austriacy...**

W czasach I Rzeczypospolitej Kraków można było zdobyć z marszu. Pisząc rozdział swojej książki o Smoleńsku, musiałem zebrać sporo informacji i przypomnieć sobie, jak przebiegały owe słynne wojny moskiewskie Zygmunta III. Z punktu widzenia funkcjonowania państwa to był kompletny dramat. Na cud zakrawa to, że w ogóle udało się wtedy zająć Moskwę, bo to był wyjątkowy zbieg okoliczności, niezależny od zasług samego hetmana Żółkiewskiego. Ponieważ ten problem braku silnego, funkcjonalnego państwa wciąż do nas wraca i cały czas nie mamy dobrej odpowiedzi, jak je stworzyć, jesteśmy na tym

punkcie niejako zafiksowani, zwłaszcza dzisiaj. A im więcej o tym myślimy i mówimy, tym bardziej okazuje się, że nie potrafimy sprawić, by to państwo funkcjonowało na poziomie adekwatnym do języka i kultury.

**Jedna strona polskiego sporu odwołuje się do polskiej formy i domaga się, by ją wreszcie odzyskać, druga twierdzi, że tej formy nie mamy i jedyne, co nam pozostaje, to imitować Zachód.**

Oczywiście, mamy też bardzo silną tradycję patrzenia na zewnątrz, uciekania od naszych zasadniczych problemów. Ponieważ nie radzimy sobie sami ze sobą, pewnie odpowiedź znajduje się gdzieś poza nami. Ten problem jest widoczny już w kronice Wincentego, chodzi oczywiście o konflikt między Krzywoustym a jego bratem, w którym pojawia się kwestia zdrady. Widzimy go też w czasach drugiej elekcji. W swojej książce cytuję mowy bp. Uchańskiego i kanclerza Zamoyskiego - tam też widać wyraźnie ścierające się dwa punkty widzenia, zasadniczy spór między tymi, którzy uważają, że to, co przychodzi z zewnątrz, nie wnosi niczego istotnego do rozwiązania naszych własnych problemów, a tymi, którzy uważają, że powinniśmy się zwrócić na zewnątrz, bo to jest jedyna odpowiedź, jakiej się możemy dopracować. I tak się to toczy aż do XX w. i Romana Dmowskiego, który narzekał, że ciągle słyszy, iż możemy być nowocześni jedynie wtedy, gdy przestaniemy być Polakami.

Podział, którego dziś doświadczamy, istnieje więc od samego początku, jest wpisany w naszą historię. Pomimo tego dzisiejszego konfliktu, bardzo radykalnego, wydaje mi się, że wciąż mówimy tym samym językiem politycznym i pozostajemy w tej samej kulturze politycznej co

*Mam głębokie przekonanie o istnieniu ciągłości w sferze języka, jak i republikańskiej kultury politycznej Polaków*

przed wiekami. To jest dla mnie do pewnego stopnia rozczulające, kiedy widzę, że w sporze o Trybunał Konstytucyjny albo Sąd Najwyższy ci, którzy

tak bardzo pragną, by przyjechał tu jakiś Timmermans na białym koniu i wyzwolił nas od nas samych, ci, którzy wychodzą na ulice i próbują znaleźć jakieś pojęcia, by tę tęsknotę wyrazić, zaczynają się nagle odwoływać do Konstytucji 3 maja...

**... nawet jeśli myślą, że ona wciąż obowiązuje.**

Nawet ci, którzy oczekują, że świat zewnętrzny ma rozwiązać nasze wewnętrzne problemy, cały czas mówią tym samym językiem politycznym i funkcjonują w tej samej kulturze politycznej co ich adwersarze. Weźmy pojęcie zdrady narodowej, które dziś tak naprawdę funkcjonuje po obu stronach. Każda uważa, że to ta druga dopuszcza się ostatecznej, straszliwej zdrady narodowej, która doprowadzi nas do katastrofy. Natomiast to, co stanowi poważny problem i prowadzi do konstatacji, że musimy się zastanowić nad porządkiem konstytucyjnym w Polsce, dotyczy tego, jak zbudować ramy, które zdolne byłyby utrzymać tak radykalny konflikt jako istotę życia politycznego Polaków. I to jest dokładnie ta sama sytuacja, która była w przypadku I Rzeczypospolitej.

**Tamte ramy różnie są oceniane, faktem jest, że nie wytrzymały.  
Na czym zatem polegała ich wyjątkowość?**

W XVI w. nasi przodkowie mogli być dumni z rewolucji, która doprowadziła do powstania Rzeczypospolitej, właśnie dlatego, że udało im się stworzyć system, który pomimo gwałtownych wewnętrznych sporów był w stanie się utrzymać jako polityczna całość. Nawet gdy przy trzeciej wolnej elekcji przedstawiciele dwóch konkurencyjnych obozów o mało się nie pozabijali pod murami Warszawy, cały czas funkcjonowały pewne mechanizmy, elementy kultury politycznej, które pozwalały prowadzić stronom negocjacje i wypracować pewne rozwiązania. Takim mechanizmem była właśnie wolna elekcja, która stwarzała okazję do bardzo radykalnego spięcia między zwolennikami różnych kandydatów do korony. Natomiast później, po wolnej elekcji, zwoływano kolejne sejmy, których rolą było tak naprawdę odpuszczenie tym, którzy przegrali. Po to, by w nowych warunkach politycznych nie byli traktowani jako zdrajcy, żeby mogli powrócić do wspólnoty politycznej. Trochę na zasadzie amerykańskich wyborów prezydenckich, które powodują bardzo silną polaryzację polityczną, ale po nich następuje powrót do normalności. No, może z wyjątkiem ostatniej elekcji Donalda Trumpa...

**Nie tylko tam ten mechanizm chyba już nie działa...**

Kiedy mówimy dzisiaj o konstytucji i jej reformie, myślimy właśnie o poszukiwaniu rozwiązań, które pozwolą nam powracać do całości po bardzo silnych, gwałtownych wewnętrznych sporach.

**Mocny podział, gwałtowne polityczne emocje to część naszej tożsamości. Pokazuje pan to w swojej książce na licznych przykładach z historii. Skąd zatem mit jedności, tęsknota za arkadią, w której politycy wreszcie prze stają się kłócić? Może jest winna pierwsza Solidarność, ten szczęśny czas, gdy podziałów rzeczywiście nie było.**

*Musimy wreszcie odpowiedzieć na pytanie: „Kim jesteśmy?”*

Nawet jeśli Solidarność stworzyła pozór politycznej jedności, to zasadniczym problemem nie jest

rok 1980, ale wiek XIX, czyli czas, kiedy zabrakło nam własnych struktur państwowych, które pozwoliłyby prostować takie rozchwianie w debacie czy wręcz walce politycznej. W sytuacji gwałtownego sporu o to, czy współpracować, czy walczyć o niepodległość do końca, bardzo łatwo było stawiać zarzuty, że jedna strona chce doprowadzić do ostatecznej katastrofy i to ona jest zdrajcą narodowych interesów. Wtedy właśnie, gdy nie było mechanizmu pozwalającego obiektywizować takie sytuacje, straciliśmy chyba wiarę, że da się utrzymać spór w ryzach i nie doprowadzać do stanu, w którym druga strona musi być wykluczona, bez prawa powrotu do wspólnoty.

**Ocenia pan, że sto lat temu też Polakom się to nie udało?**

II Rzeczpospolita trwała zbyt krótko, by zbudować powszechną świadomość, że nawet mimo gwałtownych różnic zawsze mamy dokąd wrócić razem, że mamy wspólne państwo, wspólne ramy porządku konstytucyjnego. Zbyt szybko i za często te ramy się w dwudziestolecie zmieniały. Dzisiaj mamy dokładnie ten sam problem. Spór polityczny wylał się poza wszelkie ramy, bo ramy okazały się za słabe, zbyt efemeryczne, niezakorzenione, nielegitymizowane.

**Zgadza się pan zatem z tezą, że III RP nie ma formy, trzeba ją znaleźć i dopiero potem będziemy mogli odzyskać równowagę?**

III RP być może w ogóle miała nie mieć formy - z założenia. W jej narodzinach chodziło nie tyle o formę, ile sformatowanie. To nie jest to samo. Chodziło o to, by niestałą, opuszczoną przez rozpad komunizmu rzeczywistość społeczną i ekonomiczną sformatować według nowego, po-zimnowojennego porządku. Moim zdaniem nikt wtedy nie zastanawiał się nad polską formą, chodziło raczej o to, by uporządkować i zabezpieczyć różnego rodzaju interesy.

Tak naprawdę dopiero teraz zaczęliśmy myśleć o formie, także dlatego, że nasz wewnętrzny spór stał się bardzo gwałtowny i nie wytrzymała pod jego naporem architektura prawnoinstytucjonalna zbudowana w ostatnich 30 latach.

**Gdzie zatem znajduje pan źródła optymizmu w kwestii naszej przyszłości?**

Nadzieję pokładam właśnie w tym, że po raz pierwszy Polacy bardziej są zwrócenii do siebie niż na zewnątrz. Bardziej oczekują odpowiedzi, zwracając się ku sobie, niż słuchając, co radzą inni, jak powinniśmy postępować. Polacy są nawet gotowi ponieść ryzyko bycia w pewnym sensie samotnymi, nie do końca akceptowanymi przez świat zewnętrzny, zyskując dzięki temu większy wgląd w siebie. To jest dobry punkt wyjścia do zastanowienia się, jak nasza przyszłość powinna wyglądać, jakich rozwiązań potrzebujemy, by utrzymać naszą całość bez względu na to, jak silne wewnętrzne konflikty nami targają.

**„Kto patrzy na zewnątrz, śni, a kto do wewnątrz, ten się budzi”.**  
**Taki cytat z Junga znalazł się w pana książce.**

Tak, to jest to jungowskie przebudzenie. Musimy wreszcie odpowiedzieć na pytanie: „Kim jesteśmy?”. Wreszcie dotarło do nas, że to, co nam inni powiedzą na ten temat, nigdy nie będzie prawdziwe. Prawdę o sobie musimy znaleźć sami i przyjąć ją do wiadomości, nawet jeśli nie będzie się ona podobać światu zewnętrznemu. Na tym polega zdrowa podmiotowość polityczna, również kulturowa. Uznajemy, że jesteśmy tacy, a nie inni. I nie jest naszym problemem, jeśli ktoś ma z tym problem.

**Gdy się już człowiek obudzi, dostrzega też zagrożenia. Które są najpoważniejsze?**

Jeśli już posługujemy się zdaniami emblematami, takimi jak ów cytat z Junga, to niebezpieczeństwo streściłbym w zdaniu: „Nigdy nie zachwycaj się widokami”. Musimy się zwrócić do siebie nie po to, by oglądać piękne widoki, nie żeby się wzruszać, ale by odpowiadać na zasadnicze pytania o własną tożsamość. Te odpowiedzi mogą być pozytywne, ale też negatywne. Mamy także złe cechy i musimy je poznać, choćby po to, by dzięki temu uzyskać jakiś stan równowagi, by nie oscylować bez przerwy między wspólnotą wstydu a wspólnotą dumy. I to jest nasze podstawowe zadanie.

*Z Markiem A. Cichockim rozmawiał Piotr Legutko*

Wywiad został zamieszczony w 26 numerze kwartalnika *Rzeczy Wspólne*. Publikujemy za uprzejmą zgodą wydawcy